Czesław Kulesza

Walka o prawicowego wyborcę nabiera tempa. Prawo i Sprawiedliwość, które przez lata przyzwyczaiło się do roli niekwestionowanego reprezentanta tej części społeczeństwa, musi dziś zabiegać o poparcie ludzi coraz chętniej spoglądających w stronę Konfederacji. Nie wystarcza już przypominanie o własnych rządach, programach socjalnych czy patriotycznych zasługach. Trzeba udowodnić, że jest się równie stanowczym, a najlepiej jeszcze bardziej radykalnym niż konkurenci.
Wskazanie Przemysława Czarnka jako kandydata PiS na premiera trudno odczytywać w oderwaniu od tej rywalizacji. Były minister edukacji nie kojarzy się przecież z poszukiwaniem kompromisu ani łagodzeniem społecznych konfliktów. Jego polityczna rozpoznawalność została zbudowana przede wszystkim na zdecydowanym konserwatyzmie obyczajowym, sporach światopoglądowych i języku konfrontacji. Taki kandydat ma przekonać prawicowych wyborców, że nie muszą szukać bardziej wyrazistej reprezentacji poza PiS. Jest to jednak również ryzyko. Próbując odzyskać wyborców Konfederacji, partia Kaczyńskiego może jeszcze bardziej oddalić się od tych, których wcześniej przyciągała obietnicą stabilizacji i bezpieczeństwa socjalnego.

Podobny sens mają ostatnie wystąpienia dotyczące Unii Europejskiej. Jarosław Kaczyński domaga się jej gruntownej przebudowy, zmiany traktatów i ograniczenia znaczenia dotychczasowych instytucji. Przemysław Czarnek zapewnia wprawdzie, że PiS nie planuje wyprowadzenia Polski ze Wspólnoty, ale sam sposób prowadzenia tej dyskusji pozwala partii zbliżać się do eurosceptycznych nastrojów bez jednoznacznego przyjmowania odpowiedzialności za konsekwencje ewentualnego zerwania z Unią. Krytyka brukselskiej biurokracji, polityki klimatycznej czy ograniczeń suwerenności znajduje przecież odbiorców znacznie szerzej niż tylko w tradycyjnym elektoracie PiS.
Nie inaczej jest z sympatią do Donalda Trumpa. Dla polskiej prawicy amerykański prezydent pozostaje symbolem polityki, która nie przeprasza za swój nacjonalizm, lekceważy liberalne konwenanse i obiecuje przywrócenie państwu utraconej wielkości. Fascynacja ta ma jednak swoją cenę. Trudno jednocześnie domagać się pełnej suwerenności Polski i z taką nadzieją spoglądać na przywódcę mocarstwa, którego polityka podporządkowana jest przede wszystkim interesom własnego państwa. Nie ma żadnej gwarancji, że interesy te będą zawsze zgodne z polskimi. Patriotyzm uzależniony od przychylności Waszyngtonu pozostaje przecież patriotyzmem dość osobliwym.
W tych działaniach widać szerszą strategię. PiS próbuje osłabić konkurentów na prawicy przez zaostrzenie własnego przekazu i przejęcie części ich postulatów. Koalicja Obywatelska stosuje metodę mniej widowiskową, lecz niekoniecznie mniej skuteczną. Donald Tusk stara się utrzymywać wokół siebie ugrupowania koalicyjne, a jednocześnie stopniowo przejmować ich wyborców. Im bardziej polityka rządu staje się polityką premiera, tym trudniej mniejszym partnerom przekonać społeczeństwo, że posiadają własną tożsamość i odrębny program. W rezultacie mogą oni ponosić koszty wspólnego rządzenia, podczas gdy polityczne korzyści przypadają przede wszystkim największemu ugrupowaniu.
Obie taktyki różnią się sposobem działania, ale prowadzą do podobnego celu: ograniczenia

znaczenia mniejszych partii i skupienia politycznej reprezentacji wokół dwóch największych obozów. PiS chce podporządkować sobie prawicę przez konfrontację, KO przyciąga wyborców sojuszników przez obietnicę skuteczności i stabilności. Nie musi to oznaczać świadomie uzgodnionego planu. Wystarczy logika rywalizacji, w której mniejszy partner coraz częściej staje przed wyborem między podporządkowaniem się silniejszemu a ryzykiem politycznej marginalizacji.

Przy całej ostrości wzajemnych oskarżeń PiS i KO mają zresztą więcej wspólnego, niż chciałyby przyznać. Spory o sądownictwo, w tym trwająca obecnie walka o Trybunał Konstytucyjny, a także o media publiczne, pokazują, jak łatwo zasadnicze pytanie o niezależność instytucji ustępuje miejsca pytaniu, kto będzie nimi kierował. Nie znaczy to, że działania obu obozów były identyczne ani że naruszenia praworządności z okresu rządów PiS można zbyć wzruszeniem ramion. Nie sposób też pomijać roli Prezydenta w obecnej obronie przyczółków PiS w instytucjach publicznych. Problem polega na tym, że naprawa instytucji zbyt często przedstawiana jest jako odzyskanie ich przez właściwy obóz polityczny, a nie stworzenie takich zasad, które ograniczą wpływy każdej kolejnej władzy.

Jeszcze wyraźniej podobieństwo widać w polityce wobec uchodźców i migrantów. Rząd Donalda Tuska, który wcześniej krytykował praktyki poprzedników na granicy z Białorusią, sam zdecydował się na daleko idące ograniczenia możliwości ubiegania się tam o ochronę międzynarodową. Zmienił się język uzasadnień, lecz bezpieczeństwo państwa ponownie stało się argumentem pozwalającym odsuwać na bok prawa konkretnych ludzi. W ten sposób rozwiązania kojarzone z prawicą zostają zaakceptowane przez polityczne centrum, które wcześniej zapewniało o swojej odmienności.

Nie oznacza to jednak, że prawicowa krytyka istniejącego porządku jest zawsze pozbawiona podstaw. Przeciwnie, jednym ze źródeł jej powodzenia pozostaje umiejętność dostrzegania rzeczywistych problemów. Unia Europejska ma deficyty demokratycznej kontroli, instytucje państwowe bywają upartyjnione, koszty transformacji gospodarczej rozkładają się nierówno, a wielu ludzi nie odnajduje własnych doświadczeń w opowieści o nieustannym postępie. Prawica potrafi nazwać te niepokoje i przekonać część społeczeństwa, że zmiana jest konieczna.

Kłopot zaczyna się przy proponowanych rozwiązaniach. Odpowiedzią na brak demokracji w Unii ma być często wzmocnienie rządów narodowych, choć nie daje to żadnej pewności większego wpływu obywateli na decyzje. Na społeczne koszty przemian gospodarczych proponuje się ograniczenie regulacji, które mogą chronić pracowników. Na niepewność zatrudnienia, drożyznę i kryzys mieszkaniowy odpowiada się wskazywaniem migrantów, obcych kultur albo europejskich urzędników. Rzeczywisty konflikt interesów nie znika, lecz zostaje przeniesiony na inny grunt. Zamiast rozmowy o podziale bogactwa otrzymujemy spór o narodową tożsamość, a zamiast demokratyzacji państwa — obietnicę silniejszej władzy.

Najbardziej zastanawiająca jest jednak reakcja środowisk liberalnych i części lewicy. W obawie przed prawicą zaczynają one bronić niemal wszystkiego, co prawica podaje w wątpliwość. Krytyka Unii bywa traktowana jak zapowiedź polexitu, krytyka sądownictwa jak zamach na praworządność, a kwestionowanie kierunku polityki gospodarczej jak dowód niezrozumienia współczesnego świata. W ten sposób obrona demokracji niepostrzeżenie zamienia się w obronę istniejącego porządku, łącznie z jego nierównościami i niesprawiedliwością.

Jest w tym niemała ironia. Środowiska uważające się za postępowe coraz częściej proponują powrót do stanu sprzed rządów PiS, jakby wcześniejsza Polska była wolna od społecznych konfliktów, niesprawiedliwości i instytucjonalnych patologii. Tymczasem właśnie niezadowolenie z tamtego porządku pomogło prawicy zdobyć władzę. Przywrócenie dawnych zasad bez

usunięcia przyczyn społecznego rozczarowania nie musi więc oznaczać trwałego zwycięstwa demokracji. Może jedynie przygotować grunt pod kolejny prawicowy zwrot.
Szczególnie trudno zrozumieć taką postawę w przypadku lewicy. Jej historycznym zadaniem nie była przecież obrona istniejących stosunków społecznych, lecz ich zmiana. Z marksowskiego punktu widzenia instytucje polityczne nie funkcjonują w oderwaniu od stosunków własności, interesów klasowych i sposobu podziału wytwarzanego bogactwa. Demokratyczne procedury są niezbędne, ale same nie zapewnią rzeczywistej równości ludziom, których codzienne życie zależy od decyzji pracodawcy, banku czy właściciela mieszkania.
Lewica nie musi zgadzać się z prawicową diagnozą, aby przyznać, że wiele spraw wymaga zasadniczej zmiany. Powinna jednak potrafić zaproponować rozwiązania odważniejsze niż przywrócenie dawnego stanu rzeczy. Demokratyzacja instytucji, społeczna kontrola nad gospodarką, silniejsze prawa pracownicze, publiczne mieszkalnictwo i rzeczywista powszechność praw człowieka nie są przecież dodatkiem do lewicowego programu. Stanowią jego podstawę.
Tymczasem coraz częściej odnosi się wrażenie, że to prawica narzuca tempo politycznej debaty, a liberalne centrum wraz z częścią lewicy ogranicza się do odpowiadania na jej kolejne pomysły. Nawet gdy odpowiedzi te są słuszne, nie zastępują własnej wizji przyszłości.
Walka PiS z Konfederacją pokazuje, że na prawicy trwa spór o to, kto skuteczniej zagospodaruje niezadowolenie z obecnego porządku. Donald Tusk próbuje natomiast przekonać wyborców, że najbezpieczniej będzie powierzyć jego utrzymanie jednemu silnemu ugrupowaniu. W obu przypadkach na dalszy plan schodzi pytanie, czy sam porządek społeczny nie wymaga głębszej przebudowy.
A przecież polityka nie musi sprowadzać się do wyboru między tymi, którzy chcą zmienić świat na gorsze, a tymi, którzy obiecują, że pozostanie taki jak dotąd. Od lewicy należałoby oczekiwać czegoś więcej. Zwłaszcza że historia wielokrotnie pokazywała, iż społeczeństwa pozbawione wiary w możliwość postępowej zmiany nie przestają jej pragnąć. Zaczynają jedynie szukać jej obietnicy gdzie indziej.

Czesław Kulesza